



TADEUSZ MICIŃSKI.

Z nazwiskiem Micińskiego związało się miano maga. O utworach jego mówi się ciągle jak o księgach mądrości, zamkniętych siedmioma pieczęciami tajemnicy, przysłoniętych drażniącym znakiem zagadki, przeznaczonych dla wybranych i wtajemniczonych.

Przeciętny czytelnik skarży się na nią, że trudno mu jest biedz za strzelistą, poszarpaną często, a zawsze szeroko i wysoko wspiętą myślą poety, że brak mu tchu, by wraz z nim przesadzać mrokiem ziejącą otchłań — i między jednym szczytem a drugim, przeciągać za niego kruche mosty logicznych powiązań. Powstają stąd całe labirynty nieporozumień, cała ta mgiełka uniesień i oburzeń, która przysłania właściwe i rzetelne wartości twórczości Micińskiego.

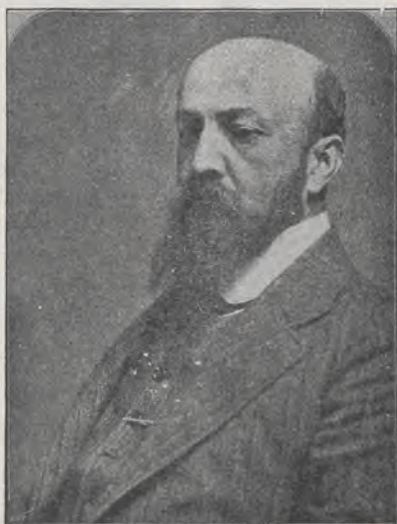
Niepospolity jego talent kocha się w kształtach monumentalnych, szerokich wielkimi ruchami ciosanych w dziejowej przeszłości, czy w bardziej jeszcze nieobjętych tęsknotach i marzeniach o najdalszem jutrze. Olbrzymia erudycja codziennym, nieprzerwanym zdobywaną trudem daje mu swobodę ruchów i prawo obywatelstwa wśród najrozmaitszych środowisk myśli i życia, zaostrza mu wzrok, wskazuje od-

ległe punkty zaczepień, tysiącem nieraz lat przegrodzone.

Rzeczą uczonego jest moralnie wykreślać te drobne sploty i skrety nitek, które składają się na wewnętrzny rozwój życia; poeta chwyta je intuicyjnie, zadzierzga i niewyplątany kłębek rzuca w dal przyszłości, w pewien jasny, dla niego tylko widzialny mierzając cel i promieniem swych tęsknot rozświetlając przed nim dalszą drogę w jutro.

Ten proces duchowego żniwa i zbożnej siejby najdoskonalej widzę w twórczości Micińskiego.

Czy mówi on o konieczności budowania „Nowego Życia”, czy zadumawszy się, sięgnąć pragnie do „źródeł duszy polskiej”, czy wreszcie szarpiąc samego siebie, w porwanych obrazach malować będzie na kartach „Nietoty” obrazy naszej terażniejszości, nigdzie nie zepchnie go z drogi jakiś choćby najciekawszy szczegół — nigdzie nie wstrzyma go staranie o poprawniejsze wydobyć charakterystycznych cech rysunku, nigdzie nie pociągnie go choćby nie wiem jak skomplikowana psychologia jednostki, ale zawsze jest on cały wpatrzony w odleg-



TADEUSZ MICIŃSKI.

łe krańce tworzenia, zawsze i w każdej chwili oko jego gotowe jest ujrzyć niebo

roziskrzzone i ziemię rozwartą i drżącą, a między niemi dokonywujący się cud nieświadomie, w głębiach życia z dawien dawna i nieprzerwanie przygotowującego się rozkwitu ducha i jego myśli kierowniczej.

Ale to podporządkowywanie wszystkich szczegółów pewnym niezmiernym założeniom nie odbywa się bynajmniej w imię jakichś technicznych wymogów — Miciński liczy się z nimi bardzo mało — ale jest to następstwo zasadniczego jego stosunku do samej twórczości.

Gdyby mi w jednym zdaniu kazano określić całą twórczość Micińskiego, pomijając wszystkie inne cechy, depreczując całe łany, by bardziej zbliżyć się do tryskających wśród nich źródeł, powiedziałbym, że w utworach jego zamyka się jakiś ogromny rozdział dyskusji o rzeczach polskich, odbity w przymacie jednej duszy.

Gdy się jednak tak nierozzerwalnym węzłem spaja życie z własną twórczością, zbyt nia trzeźwość zwązałaby granice poznania; wysubtelnienie wzroku i czucia prowadzi czasem wprost do tych mgieł, które już tylko odbiciem wpatrzonych w nie oczu odpowiadają.

Miciński wszelkimi siłami stara się chwycić życie na gorąco: czy będzie to otwarcie I Dumy, czy jakaś uroczystość w Pradze, czy wreszcie bój na Bałkanie, z jakimś nieposkromnionym uporem biegnie on wszędzie, by własnym okiem spojrzeć na dokonywające się wstrząśnienia i przewroty i jak inni niegdyś szukali wszędzie przejawienia się nagiej duszy, tak on pędzi zawsze tam, gdzie życie obnaża się z pęt sztucznie tworzonej ciągle równowagi i przejawia w nowej nagle zbudzonej swej sile czy formie.

Ale nawet przy tak bezpośrednim zektnięciu się obraz każdy olbrzymieje niezwłocznie w jego oczach, rozciąga się na „tysiąc lat wstecz i tysiąc lat w przyszłość“ ku źródłom, ku dalom popycha jego wzrok, a tu i tam czekają nań żniwa znojne i krasami strojne, te siejby królewskie z myślą o przyszłych nieznanych dziedzicach podejmowane.

Gdy przyszedł ten dziedzic przeglądać będzie kiedyś twórczość Micińskiego, a rozdarłszy płaszcz maga z większym niż my materiałem analityczno-dowodowym zbliży się do tych ksiąg dziś jeszcze spiętych rozmaitymi pieczęciami, pomimo wszystko znaj-

dzie w nich tylko niepospolicie cenne dokumenty do odtwarzania pewnej bardzo złożonej psychologii jednostki, obdarzonej wielkim talentem.

Odnajdzie on w tych dziełach przede wszystkim ogromne ukochanie swego kraju rodzinnego i nieprzerwaną troskę o jego dobro pełne zgrzytów bolesnych, pochodzące stąd, iż rzeczywistość stoi w dalekim zaledwie stosunku do ideału, ku któremu chciałoby się ją zbliżyć. Znajdzie też w nich przebijające się na każdym kroku umiłowanie życia, ale znów tylko w uczuciu tęsknoty występujące, zewnątrzprzeżyciami związane z pewnym dziejowym momentem, ale wyrrywające się po za niego wszystkimi drogami poznania i z całą wiarą w lepsze, piękniejsze jutro.

Te dwie zasadnicze i najprostsze linje, do których możnaby sprowadzić całą twórczość Micińskiego zbliżać ją też powinny do zrozumienia jej przez ogół i we właściwym stawiać światło.

Stefan Gacki.



Miasta—ogrody.

W chwili gdy towarzystwo związane u nas w celu propagowania i zakładania miast-ogrodów zaczyna wchodzić w życie i dalszy jego rozwój zależeć jedynie będzie od zainteresowania się nim i poparcia przez szerszą publiczność, ze sfer pracujących szczególnie — nie od rzeczy będzie przypomnieć, jaką drogą szła i urzeczywistniała się idea miast-ogrodów w Anglii i Niemczech.

Materiału do tego szkicu dostarczyły nam prace gorliwego propagatora tej dobroczynnej akcji w Warszawie dr. Dobrzyńskiego, a także zeszłoroczny pobyt w Helleron i odczyt inicjatora miast-ogrodów w Anglii, dr. Ebernera Howarda.

Był on wygłoszony w Krakowie na zjeździe esperantystów — uwzględniono jednak szersze koła i przetłómaczono go na język polski.

Niema może miasta w Zachodniej Europie, któreby było budowane tak bezplanowo jak Warszawa, spekulanci wykupują wszystkie wolne place — zadrzewione do niedawna — przestrzenie zapełniają się dochodowymi domami, bez żadnego uwzględnienia zdrowotności ogólnej.

Mieszkania dla rodzin złożonych z kilku osób, któreby posiadały dostateczną ilość powietrza do oddychania, są przywilejem tylko ludzi zupełnie zamożnych — większość ludności fizycznie pracującej, mieścić się musi w norach, urągających wszelkiemu pojęciu o racjonalnej hy-



Ulica w Earswick.

gienie mieszkaniowej. Nie w lepszym położeniu były wielkie angielskie skupienia robotnicze w Londynie, Manchesterze, Birminghamie i innych miastach — pomyślano tam jednak wcześniej o radykalnej reformie i stworzono tak idealne schronienia dla ludzi przepracowanych, jak Bournville, Earswick, Port Sunlight i Letchworth.

Reformę tę oparto nie na filantropji, spekulacja też do tego dzieła nie miała żadnego dostępu — trzeźwi, zrównoważeni, obdarzeni silną wolą obywatele angielscy, ugruntowali ją na niezłomnych zasadach ekonomicznych. Cała sprawa finansuje się dobrze, przynosząc zarazem nieocenione korzyści uboższej ludności.

Kwestja robotnicza, pomimo wybuchających masowych strejków, a może właśnie wskutek dobrego zorganizowania tej obronnej akcji, zdaje się w Anglii zdążać do szybszego rozwiązania, niż w innych krajach Europy. Przykład robotników rochadalskich ogarnia coraz szersze masy, zwalcza nędzę kooperatywa spożywcza; nie dosyć na tem, robotnicy dążą wytrwale do podziału zysków z fabrykantami, usiłując w ten sposób zadać ostatni cios rozwielniającemu się nadmiernie kapitalizmowi.

17 wielkich fabryk angielskich stosuje pod naciskiem pracowników tę metodę a prawdopodobnie większość wielkich tamtejszych przedsiębiorstw będzie zmuszona iść za tym przykładem.

Jedną z form racjonalnego podziału zysków są kolonie wiejskie, zakładane przez przedstawicieli wielkiego przemysłu.

Rozumni pracodawcy doszli do tego przekonania, że dbając o podnoszenie dobrobytu i wygod życia rodzinnego pracowników — działają na własną korzyść. Przy podnoszeniu się dzielności i sprawności życiowej, wydajność pracy się zwiększa — powiększa się siła i bogactwo całego narodowego organizmu.

Bournville, Port Sunlight są najpiękniejszymi dziełami kultury europejskiej.

Architektura, ogrodnictwo i higiena podały sobie ręce, aby stworzyć ten idealny typ mieszkań robotniczych.

Mieści się tam wszystko, co do rozwoju duchowego człowieka jest niezbędne: kościoły, szkoły, domy ludowe z salami odczytowymi z bibliotekami i czytelniami, ochronki, żłobki i łaźnie, żadnego ścieśniania, grupy domków zbudowa-

nych na 2—4 rodziny, toną w zieleni, dzieci bawią się w parku lub na przyległych łązkach, barwne kwiatniki, starannie utrzymane okalają domostwa.

Rzecz naturalna, że urządzenia niemal zbyt liczne przy niskiej cenie najmu rentować miało — fabrykanci jednak, którzy zakładali te kolonie, uznali już podział zysków za konieczny, wkładając w tę formę wynagrodzenia rozumną organizację i szlachetny humanitaryzm.

Nie wszyscy jednak doszli już do tego punktu zapatrywania się na kwestję robotniczą.

Kolonja w Barswick oparta jest na ścisłym rachunku i tak sfinansowana, że włożony w nią kapitał rentuje się odpowiednio, pomimo, że ceny wynajmu są niskie, robotnicy też od czasu gdy tam zamieszkują są znacznie silniejsi i rzadziej podlegają chorobom.

Domki w Earswick są zbudowane w szeregach tworzących ulice, budowle są skromne, trawniki jednak i kwiatniki je otaczają, nie zapomniano też o miejscu zabaw dla dzieci, o hali ludowej i bibliotece. Domki mają rozkład następujący: na parterze kuchnia i pokój, spiżarka i kredens do zmywania z wanną i waterklozetem, obok schowanko do węgla; na pierwszym piętrze trzy obszerne sypialnie. Komorne w tych domkach wynosi od 2—6 szylingów tygodniowo, co na naszą monetę wynosi od jednego do 3-eh rubli.

Poza kolonjami robotniczymi mamy w Anglii jeszcze dwa różne typy miast-ogrodów: jeden z nich stworzony jest dla mieszkańców przez wielkie komuny miejskie, drugi wciela w życie ideał Ebenera Howarda, usiłującego zreformować sztuczne, szkodliwe dla ducha i ciała, życie w wielkich miastach, przez powrót na łono prostoty i natury.

Domy komunalne nie mieszczą się zdala od miasta, drogie więc grunta nie pozwoliłyby na budowę oddzielnych domków dla jednej lub dwóch rodzin. Zniszczono jednak radykalnie całe dzielnice niezdrowe w Londynie i na ich zaś miejsce zbudowano nowe, higieniczniejsze domy robotnicze. Są to 6-0 piętrowe kamienice koszarne, schody jednak i długie balkony, mieszczą się wewnątrz murów, co pozwala mieszkańcom przebywać na powietrzu, mieszkania są obszerne, dobrze wentylowane, składają się z 3—4 izb,



Bournville. Dom dla 4-eh rodzin.

każda z nich ma osobne wejście z ulicy lub z długiego ganku zewnętrznego. Komorne jest tanie, od 50 kop do 1,20 tygodniowo.

W Liwerpoolu, gdzie budują dla robotników domy dwupiętrowe, na ich płaskich dachach urządzone są miejsca do zabaw dla dzieci.

Prócz tych przejściowych, bo pozbawionych zieleności i szerszego terenu domów robotniczych, większość miast urządza dla swoich uboższych mieszkańców planowo zbudowane przedmieścia, z uwzględnieniem wymagań higienicznych.

Mieszkają tam już obecnie dziesiątki tysięcy rodzin. Domki wynajmują się w cenie od 3½ do 6 rb. tygodniowo za 3 pokoje, dodać jeszcze należy, że ogródki dodane zwykle do mieszkań, są tak obszerne, że dać mogą dzierżawcom dość znaczne dochody.

Przechodzimy teraz do trzeciego typu kolonji: do miast-ogrodów Howarda.

Obok innych celów, mają one na celu wyrugowanie spekulacji domami i placami, która wpływa na podrożenie mieszkań, przyczynia się zarazem do zwyrodnienia ludzkości. Howard utrzymuje, że zarówno ludzie umyślowo jak fizycznie pracujący, tracą zdrowie i sprawność fizyczną i umysłową w miastach.

Robotnicy i rzemieślnicy, dla braku wygod życiowych i estetycznych zadowolonych, który z nich czyni istoty bezduszne, pionki w ogólnym ruchu i zawady do szerszego intensywniejszego rozwoju społecznego.

Inteligencja naodwrot, wśród gorączkowych nerwowych podnieć wielkich środowisk miejskich, dochodzi szybko do zatury wszelkich zasobów umysłowych, o ile nie potrafi zrównoważyć wysiłków duchowych przez pracę fizyczną na świeżym powietrzu.

W kolonjach, do których przenosić się będą jedni i drudzy, winna być jaknajwiększa ilość parków i ogrodów, otaczać też je ma pas rolnogrodniczy — jako teren zarobkowy dla jednych, drugim zaś dający możliwość ćwiczeń i pracy fizycznej.

W ideaalnym programie nie zapomniano i o wzajemnym moralnym oddziaływaniu — wiadomo bowiem jaki przedział panuje wszędzie pomiędzy inteligencją a ludnością fizycznie pracującą.

Pomimo, że Anglja jest klasycznym krajem pracy społecznej, pomimo, że na jej gruncie powstała w Londynie instytucja Toynbec'ego, będąca wzorowym uniwersytetem ludowym i liczne settlementy robotnicze, pomimo, że młodzież uniwersytecka obojej płci, pełni w nich stałe służbę społeczną — Howard uważa, że miastogrody po za swoją stroną higieniczną powinny jeszcze stać się potężną dźwignią w zespoleniu ideowym różnych odłamów narodu. Po dość długim okresie przygotowawczym i usilnej propagandzie powstało przed 8-miu laty pierwsze howardowskie miasto — ogród p. n. Letchworth.

Początkowo miało ono formę letnich mieszkań, wkrótce jednak zaczęto się w niem osiedlać na stałe, przenosić nawet zakłady przemysłowe, nie zmieniając jednak pierwotnego zało-

żenia. Dziś Letchworth ma do 30,000 mieszkańców ze wszystkich sfer, posiada parki, ogrody, łąki i orną ziemię, co nie przeszkadza, że znajdują się w niem także wspaniałe ulice handlowe.

Główną rolę jednak grają liczne grupy domków otoczonych ogródkami — place do gier i sportów i liczne instytucje społeczne, łączące razem wszystkich mieszkańców kolonii.

Zabudowania te wznoszone są drogą kooperatywy, wszelka nadwyżka dochodu od oznaczonej renty gruntowej obracana jest przez członków na kulturalne potrzeby miejscowości.

Wpatrując się we wzory angielskie sędzieliśmy, że na zachodzie Europy przynajmniej kwestja zdrowotnych mieszkań dla ludności miejskiej zdążyła szybkim krokiem do rozwiązania. Z tem większą więc ciekawością dążyliśmy do Helleran aby zbadać, jak instytucje tego typu funkcjonują na gruncie niemieckim.

Przybyliśmy jednak po to, aby raz jeszcze stwierdzić jak genjusz rasy anglosaksońskiej różni się od poczyniń i metod w państwie „bojaźni bożej“. Helleran leży o kilkanaście minut drogi tramwajowej pod Dreznem, w okolicy płaskiej, rzadko zalesionej, która jest antytezą znanej z pięknych widoków Szwajcarii saskiej.

W naszych kołach artystycznych i pedagogicznych znane jest Helleran z tego względu, że w niem obrał sobie mieszkanie i wybudował grecką świątynię mistrz Dalcroze, który wprowadził reformę do gimnastyki, opierając ją na zasadniczych tonach muzyki i naturalnej harmonji ruchów. Do tej świątyni rytmiki dąży corocznie kilkaset osób z Europy i Ameryki.

Kto jednak wytworzył sobie na podstawie akcji angielskiej, pojęcie czem ma być nowe miasto-ogród, tego spotka niemiły zawód w Helleran, tutaj dzieło reformy sprowadzone jest do zadań czysto merkantylnych.

Zapewne, że drobne mieszczaństwo Drezna mieszka tutaj taniej i lepiej niż w mieście dzięki nie ciągnącemu nadmiernych zysków towarzystwu, zdaje się jednak zupełnie zapominać o ideowej stronie sprawy.

W tej nowoczesnej bowiem kolonji, niema literalnie *ani jednej* instytucji o społecznym znaczeniu. Wszyscy żyją tam osobno, nie troszcząc się o drugich, nie zrzeszając się w jakiejś jedno wspólne ognisko.

Zwiedzaliśmy wielką fabrykę wyrabianych tam urządzeń meblowych; jest to modna secesja powtarzana do znudzenia, bez wyraźnego miejscowego typu ani charakteru.

Systematyczność i porządek niemiecki stworzyły tam ład, dostarczyły robotnikom precyzyjnych narzędzi, obszernych warsztatów — nie znaleźliśmy jednak ani śladu nowożytnych reform w zakresie poprawienia doli robotniczej.

Mieszkają w domkach z ogródkami o ile je sobie wynajmą, o pomocy w tym względzie fabryki nie ma nawet mowy, nie uznano nawet tej skromnej formy podziału zysków.

Niema nawet wprowadzonego ubezpieczenia na wypadek kalectwa lub choroby, jest tylko

fundusz inwalidów — gdy osiągną 70-tego roku życia.

Długie szeregi domków biegące wzdłuż drogi tworzą ulice — nie są one jednak wybrukowane, więc pełno na niej kałuży i wybojów.

Jedne z domów są koszarowe na pomieszczenie kilkunastu rodzin, inne mniejsze na 2—4 rodziny. Jak zawsze zamożniejsi lokują się osobno, wśród lasu i ich wille planowane przez znakomitych architektów drezdeńskich są rzeczywiście piękne. Cena najmniej wynosi w nich od 1000 do 1600 marek, gdy mieszkania w domkach robotniczych kosztuje od 300 do 600 marek rocznie.

Nie słycać wcale, aby nadwyżka dochodów towarzystwa poza zwykłą normą procentową szła na jakiegokolwiek publiczne cele.

Jak wspominaliśmy bowiem, niema w Hel-

leran ani domu ludowego — ani czytelnicy i biblioteki. Pytamy, czy jest tu jakiś punkt zborny? „Schodzą się ludzie w piwiarni“, odpowiadają. Pomimo więc uroczystych zestawień całe przedsięwzięcie wygląda raczej na spekulację niż na próbę uszczęśliwienia i uszlachetnienia ludzkości.

Miejmy nadzieję, że jak powstanie u nas miasto-ogród pod Warszawą, dzięki ludziom dobrej woli oprze się raczej na wzorach angielskich, niż niemieckich.

A może też potrafimy znaleźć typ oryginalny — do miejscowych potrzeb przystosowany.

Przy niezależnych od nas brakach oświatowych, nowo-powstająca taka podmiejska kolonia, powinna być ośrodkiem intensywnego życia społecznego i drogą do osiągnięcia cywilizacyjnego wpływu na najszersze koła ludności pracującej.

J. W. K.

Z TYGODNIA.

Parę słów o pietyzmie. — Obchód wagnerowski w Niemczech i rocznica Poniatowskiego u nas. — Postęp, sport i ich zastosowanie. — Szczytne rumaki i nieszczęsne Pegazy.

Cywilizujemy się z roku na rok, z dnia na dzień. Więc wyrzekamy się barbarzyńskich przesądów zamierchłej przeszłości, starych a śmiesznych zwyczajów, wierzeń, a nade wszystko... starodawnej czei dla umarłych.

Bo też zaiste śmieszne były te starożytne ludy z swym kultem wielkich ludzi. Jakiś Homer, Achilles, Platon lub Solon, jakiś tam poeta, wojak, filozof, czy prawodawca — jeśli udało im się odznaczyć za życia — zachowywał wieczny byt w wdzięcznej pamięci potomnych a sława jego czynów, rosnąc z pokolenia w pokolenie, przybierała wreszcie kształt wyol-

brzymiały, że wreszcie stawał się on postacią legendarną, pół-bogiem.

Dziś panują inne zgoła zwyczaje. Dziś, jak powiada przysłowie francuskie, *les morts vont vite*. Umarli szybko odchodzą w mroki niebytu, przytem nietylko ich powłoki materialne, lecz również pamięć o nich.

Rok obecny jest dla Polski rokiem obchodów pamiątkowych: Czackiego, Kraszewskiego, a w pierwszym rzędzie — ks. Józefa Poniatowskiego, tego Bayarda polskiego, rycerza bez zmyślenia i strachu.

A obchody owe dowiodły jednego tylko: że te marmurowe postacie z przed wieku umarły na dobre w świadomości ogółu, dla którego są nie wiecznie żywym przykładem, nie podniosłym, krzepiającym duszę i zagrzewającym wzorem cnót, lecz conajwyżej — mglistym wspomnieniem.

Niemasz ani prawdziwie imponujących uroczystości ku ich czci, ani obszernych monografii, które szczegółowo zapoznawałyby pokolenie dzisiejsze z jego wielkimi przodkami, nie co by znamionowało istotny kult wielkich poprzedników naszych, co świadczyłoby o naszym pietyzmie.

Bo przecież nie jesteśmy barbarzyńskimi Grekami lub Rzymianami z czasów przed Chrystusowych, więc nie bawimy



Uroczystość poświęcenia tablicy pamiątkowej ku czci ks. Józefa Poniatowskiego w dworku „pod Lipkami“ na krakowskim Zwierzyńcu.

się w przesadne wystawianie cnót i czynów bohaterów naszych; bo wszak odbiegliśmy tak daleko od prymitywnej naiwności czasów zamierchłych z ich kultem zmarłych!

A jednak inne, niemniej — prędzej już: bardziej od nas cywilizowane narody nie zerwały jeszcze tak radykalnie, jak my, z tym „przeżytkiem“, jakim jest kult zmarłych bohaterów.

Inne narody, jako to: Francuzi, Niemcy rozumieją iż w owym „przeżytku“, w owym pietyzmie tkwi pierwiastek olbrzymiej wagi: zbiorowe poczucie narodowe swojej jedności i ciągłości historycznej, łączności z tymi, którzy żyli przed nami i z tymi, co przyjdą po nas.

Weźmy dla przykładu obchód stulecia narodzin Wagnera w



Karykatura Ryszarda Wagnera, przez André Gill'a. Zamieszczona w francuskim piśmie „L'Eclipse“ w r. 1869.

Niemcach i porównajmy go z obchodem stulecia śmierci ks. Józefa Poniatowskiego u nas.

Tam — bezgraniczna cześć, nieustanny ciąg uroczystości, dziesiątki ksiąg, poświęconych pamięci wielkiego muzyka, setki studjów krytycznych i biograficznych, tysiące szczegółów i szczegółików z życia mistrza wydobytych z pod pyłu stuletniego. Rzekłbyś, iż cała epoka zmartwychwstała w wyobraźni dzisiejszego pokolenia i przed oczami przesuwają się postacie wielkich twórców sławy Niemiec.

A u nas... U nas parę artykułków okolicznościowych, parę zdań rzuconych od niechcienia. Czasem tylko, zrzadka, jakaś skromniutka uroczystość, w rodzaju tej, która odbyła się ostatnio w Krakowie... I to wszystko.

Tak jest!.. Cywilizujemy się i zerwaliśmy radykalnie z starożytnością i jej praktykami. Gdy ludzie ówczesni korzyli się my — lekceważąco uśmiechamy się, gdy oni snuli marzenia, my ziszczamy najśmielsze pomysły.

Oni roili o podboju powietrza i poeci ich w chwilach upojenia śnili o Ikarze. My — wynajdujemy balony sterowe i

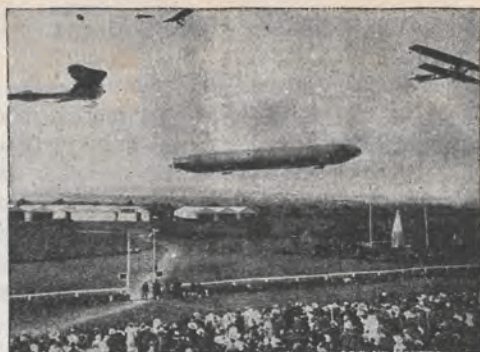
latawce, ulepszamy je, by, opanowawszy jedyne, nieujarzmiony dotąd żywioł, zastosować to najwspanialsze zwycięstwo na rzecz... mordu.

To co powinno było służyć zniesieniu granic, a tem samem zbrataniu ludzkości, służy... Molochowi militarysty.

Zaledwie wynaleziono latające aparaty i *dirigeable'e*, natychmiast objął je w posiadanie militarysta, przystosował do swych śmiertcionośnych celów. We Francji i w Niemcach dokonują się prób i doświadczeń, by zbadać jaki rodzaj: latawce czy balony sterowe odpowiadają lepiej swym niszczyielskim zadaniom.

Tak jest! Postępujemy naprzód i cywilizujemy się! Naiwni Grecy, sądząc, iż kultura cielesna winna iść w parze z kulturą duchową, urządzali igrzyska, podczas których współzawodniczyli poeci i atleci, mistrze słowa i czynu!..

Dziś kultura fizyczna, ochrzczona współczesną nazwą „sportu“ służy głównie... hazardowi, a kultura duchowa...



„Zeppelin“ i aeroplany.

Nie mówmy o niej lepiej... Wystarczy, gdy przytoczymy nieco cyfr. Suche i zwięzłe, posiadają one przecież swą wymowę, jaśniejszą, niż najdłuższe tyrady.

Bierzemy oto statystykę wyścigów konnych w Warszawie w roku pańskim 1912.

Dni wyścigowych było niespełna 40. Rozegrano 353 nagrody, które podzielono między 298 koniami. Na każdego konia przypada więc z górą 1 nagroda. Ogólna suma nagród tych wynosiła 287,095 rubla.

W tym samym roku między brać literacką: powieściopisarzy dramaturgów, poetów — podzielono trzy nagrody, nie przynoszące w sumie 500 rubli.

I podczas, gdy „głowa“, o którą zwyciężał koń, przynosiła jego właścicielowi parę tysięcy, „głowa“ literata nie przynosiła posiadaczowi swemu nic, krom nędzy i goryczy.

W tych warunkach biednemu Pegazowi poetyckiemu pozostaje tylko jedno: boleć, że nie urodził się koniem wyścigowym i roić, że dzięki metamorfozie, uda mu się kiedyś wcielić w jakiegoś „Dargota“ lub „Picadora“.

O ileż popularniejszy będzie wówczas, niż dziś!

Alceste.

TEATR.



Teatr Polski. — „Damy i Huzary“. Po chmurnem a wspaniałem panowaniu „Irydjona“, po słonecznie pogodnych „Krakowiakach i Góralach“, po słodkich dniach „Miodowego miesiąca“, po zgrzytliwym „Trojprzymierzu“ — wszedł na scenę teatru



Z motywów wyścigowych.

W Izozy.

Polskiego, wiecześnie rzeźki staruszek Fredro i jednym, znaczącym skinieniem ręki, wyczarował zdrowy, oheoczy śmiech z piersi widzów, z dobrego serca wyszydził chęć ożenku u tych, co przekroczyli już granicę jesieni życia. Damy polują na huzarów i do końca drugiego aktu, huzarom grozi dostanie się w sidła, słodkiej coprawda, ale niebezpiecznej niewoli małżeństwa. Ale w trzecim akcie marsowe, nasepione oblicza huzarów rozchmurzają się i tym razem damy poniosły dotkliwą porażkę. Sztukę świetnie wyreżyserował p. Maks. Węgrzyn. Szkoda tylko, że zbyt wielki nacisk położono na stronę dekoracyjną, która miast uwydatniać styl sztuki, jaskrawością swą przyćmiewała tylko jego wyrazistość.

j. a.

Teatr Popularny. Świeżo zorganizowane towarzystwo dramatyczne, pod kierunkiem wielce utalentowanego artysty i wytrawnego reżysera, p. Józefa Popławskiego, rozpoczęło w ubiegłą sobotę gościnę w sympatycznym teatrzyku Stow. robotn. chrześ. przy ul. Kaliksta.

W myśl nawoływań prasy, że w Warszawie brak jest przybytku sztuki teatralnej, dostępnej dla najszerszych mas, a więc popularnej i przy niskiej opłacie wejścia, p. Popławski dał początek, a właściwie próbkę utworzenia teatru dla ludu.

Niestety, próba ta zawiodła zarówno twórcę nowego teatru, jak i publiczność. Na pierwszych dwu przedstawieniach teatr świecił pustkami, a ci, co przyszli, jakgdyby, nie zadawalniając się tem, co im pokazano na scenie, czekali jeszcze na coś... Na co? Na sztukę. Czekali na sztukę ludową lub mieszczańską, pełną rozmachu, humoru i, przede wszystkim charakteru swojego. Wczoraj ugoszczono ich farsą, zlokalizowaną, zdaje się, z francuskiego, treści blażej i bez humoru. Trupa p. Popławskiego wywiązała się z zadania bez zarzutu. Rej wiódł, naturalnie, p. Popławski, świetny zawsze w rolach charakterystycznych, wyróżnili się też p. Żmijewska i p. Lenartowicz. Wystawa sztuki bardzo staranna.

K.

Miecz i dyplomacja.

Objaw trwałego pokoju.—Forma bez treści.— „Wola ludów“, czy rządy państw.— Fatalne skutki zapomnienia.— Austrja w samotrzasku.— U biesiadnego stołu w Berlinie.— Bałkany nie są wzorem dla Europy.

Ktokolwiek wąpił w starość, w nienaruszalność pokoju europejskiego — ten chyba pozbył się tych wąpliwości w chwili, gdy w Berlinie rozlegały się wystrzały wiwatowe na cześć nowozaślubionej pary, córy cesarskiej i księcia Kumberlandzkiego. U stołu biesiadnego zasiedli przedstawiciele państw, o których zwykło się mówić i sądzić, że interesy ich są biegunowo sprzeczne, i że prędzej czy później musi między państwami owemi dojść do walki na śmierć i życie.

Tego rodzaju sądom zaprzeczył zjazd berliński z największą stanowczością. Dowiódł on tym, którzy w polityce nie odróżniają formy od treści, — że obecne ugrupowanie mocarstw w trójprzymierze i w trójporozumienie jest właściwie formą bez treści i wcale nie odpowiada podstawom, na jakich opierają się interesy, zadania i cele państw europejskich.

I dowiódł jeszcze czego innego, niemniej ciekawego, niemniej ważnego: dowiódł fałszywości pojawiającego się tu owdzie twierdzenia, jakoby nadszedł czas, w którym „ludy“ decydują o swych przeznaczeniach. Twierdzenie to oparto jakoby na fakcie, iż monarchowie i rządy państw bałkańskich ulegli tylko prądowi ludu, który, nie licząc się z wolą Europy, postanowił przełamać stan rzeczy, z taką troskliwością przez nią na Bałkanach chroniony, i wyzwolić się ostatecznie z pod panowania półksiężycy.

Czy tak było istotnie — to jeszcze pytanie dotychczas nierozwiązane. Istnieją pewne dane, wskazujące, że to, co się przygotowało i wykonało na Bałkanach, stało się za wiedzą a nawet za poparciem niektórych rządów Europy. Owa „walka ludów“, podnoszona do znaczenia czynnika decydującego w polityce międzynarodowej, jest tylko podłożem, na którym kierownicy państw i rządów opierają swe plany i zamysły.

W Europie niema jeszcze polityki ludów: jest tylko polityka dynastji.

Czasami zapominają o tem nietylko przeciętni widzowie, przyglądający się dziwacznympozór posunięciom na szachownicy politycznej — ale nawet i ci, co w tej grze misternej uczestniczą. Wypadek taki przydarzył się w ostatnich czasach kierownikowi polityki austriackiej. Przekonany, że Austrja ma w Niemczech przyjaciela, na którego pomoc może liczyć w doli i niedoli i że „wola ludu“ niemieckiego poprze niemieckie zamysły Austrji — rzucił się w wir polityki awanturkowej, której ostatecznym celem miało być opanowanie wybrzeża adriatyckiego, aż po granice Grecji, zajęcie Salonik, wcielenie Serbji do organizmu austriackiego.

Okazało się, że Niemcy są tylko sprzymierzeńcem Austrji, nie zaś jej przyjacielem. Okazało się, że „wola ludu“ niema w Niemczech znaczenia w zakresie polityki między państwowej. Okazało się, że w interesie dynastji pruskiej bynajmniej nie leży popieranie wielkich planów Austrji. Rozczarowanie kosztowało Austrję drogo, bardzo drogo. A u stołu biesiadnego w Berlinie zabrakło najbliższego sojusznika, sprzymierzeńca. Znaleźli się obok siebie ci, co sprzymierzeni są odwiecznie, nie formą, lecz treścią swych interesów.

Gdyby hr. Berchtold wiedział przed pół rokiem, kto uczestniczyć będzie w uczcie weselnej córy cesarskiej i księcia Kumberlanda, Austrja nie byłaby straciła miljarda na bezcelową i bezowocną mobilizację, nie byłaby naraziła krajów swych na ruinę ekonomiczną, nie byłaby ściągnęła na się ciężkiej klęski dyplomatycznej.

Zjazd berliński przypomniał światu rzeczy znane zresztą od dawien dawna, że rywalizacja między Anglją a Niemcami — to sprawa przejściowa. W gruncie rzeczy, Niemcy i Anglja są naturalnymi, nie traktatowymi sprzymierzeńcami — byli niemi i będą. Zjazd przypomniał światu, że przyjaźń niemiecko-rosyjska trwalsza jest od najmocniejszych pozornie traktatów

sprzymierzonych. Od dwóch wieków trwa pokojowy podbój Rosji przez Niemcy i musiałby być wrogiem zaciętym Prus, ich bytu, ich przyszłości, toby je z tej drogi sprowadził.

Wszystko to przypomniał światu zjazd berliński — i dlatego właśnie znaczenie jego jest tak wielkie. Wyrazem on był nie przypadku, nie chwilowych „konjunktur politycznych“, lecz wskazał linje zasadnicze, po których posuwają się losy państw europejskich. A z losami państw związane są i losy narodów.

Na Bałkanach chwilowo panuje „wola ludów“ i ona decyduje o losach państw bałkańskich. Kto jednak w myśli swej chciałby na wzorach bałkańskich oprzeć ustrój polityczny Europy, dopuściłby się błędu i zaszedłby na manowce. Bułgar nie cierpi serba. Może to jego uczucie doprowadzić do poważnych zatargów, może nawet wywołać wojnę między Serbią a Bułgarią. Ale myliłby się stanowczo, toby stosunek polityczny między Niemcami a Francją opierać chciał na uczuciu, ożywiającem francuza względem Niemca. Polityki nie hoduje się na uczuciach.

h. m.



Remigjusz Kwiatkowski.

jak pyłek kwiatowy, „uty przezierają oblicza tych, którzy „ut“ tych melodje wyspiewali, wyplakali lub wyszeptali. Życie ich było zdumiewająco rozmaite, zależnie od kasty, z której pochodzili. Bonzowie samotni, samuraje, księżęta, damy, zestroili tu razem swe lutnie, i oto książka „Chiakunin-Izszu“ jest koncertem słów, cichą i dyskretną muzyką.

Pan Remigjusz Kwiatkowski kapryśną formę „uty“ subtelnie przetłómaczył na nasz tryolet.

J. A.

Jan fiński. Powieść współczesna. Nakładem Gebethnera i Wolffa w Warszawie, Gubrynowicza i Syna we Lwowie. Str. 215. Cena rb. 1.20.

Autor z wielką dozą psychologicznej przenikliwości, odtwarza w swej powieści koleje rozwoju młodego chłopca i wkraczającego w wiek męski młodzieńca. Zarówno dziecinne wrażenia głównego bohatera, Rocha Tyńskiego, jako też subtelne, z niewidzialnych płynące nakazów, jakichś „gestów“ zewnętrznych, jego uczucia i objawienia woli, zostały tu odtworzone w pełni swego wyrazu. Całość odznacza się zajmującą treścią, zwartą fakturą i korzystnie świadczy o talencie autora.

Kazimierz Gliński. „Stare Lwy“. Powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, Lublin, Łódź, Kraków, G. Gebethner i Spółka.

New York, The Polish Book Importing Co, Inc. Str. 307. Cena rb. 1.60.

Kazimierz Gliński w swej wszechstronnej działalności pisarskiej zajmuje wybitne stanowisko, jako autor powieści historycznych. Do tej kategorii należy utwór p. t. „Stare Lwy“. Bez ścisłego określenia czasu i miejsca rozgrywającej się akcji, prawdopodobnie w XVI-y wieku, daje Gliński wyraziste charakterystyki ludzi nie dzisiaj, ale w silnych namiętnościach, istnych „starych lwów“ o rycersko-kondjotjerskim animuszu. Tematem głównym jest tu miłość, odwieczny, zawsze potężny motor wielu ludzkich czynów. Brutalna przemoc starego wojewody, Włodka i słodkie, pełromantycznych uścisnień miłowania rycerza, Pełki Jasięca — stanowią główne osie konfliktów dramatycznych, zadzierzgniętych z prawdziwym talentem. Autor trzyma w silnem napięciu uwagę czytelnika do ostatniej strony swej powieści, odznaczającej się przytem właściwą K. Glińskiemu, swadą poetycką i wzorową, o piękną staropolszczyznę zatracającą formą językową.

Maria Konopnicka. *Jobsiada*. Epos komiczny doktora Karola Arnolda Kortuma, przekładania Marji Konopnickiej. Warszawa, 1913. Sumpet Gebethnera i Wolffa. Str. 152. Cena rb. 1, w opr. rb. 1 kop. 30.

W rękopisach pozostałych po wielkiej poetce, znalazł się przekład części pierwszej głośnego utworu satyryczno-humorystycznego, Karola Arnolda Kortuma p. t. „Żywot i myśli, postęпки i fata Hieronima Jobsa Kandyda, i jaką sławę zdobył on i jaki miał w Schildburgu zgon“. Manuskrypt nie był w zupełności przygotowany do druku, pozostały w nim drobne luki, które z całym pietyzmem, porównyując tłumaczenie z oryginałem niemieckim, uzupełnił Artur Oppman (Or-Ot). Nieznane dotychczas zupełnie dzieło znakomitej poetki, która wzorowemu przekładowi „Jobsiady“ nadała nawskroś oryginalne piętno wysokiego arcyzmu, obudzi niewątpliwie szerokie zainteresowanie. Forma wydania została przystosowana do treści, a więc zarchaizowana. Ilustracje na wzór dawnych drzeworytów, druk i papier, składając się na całość wytworną, przypominającą stare edycje z przed paru wieków.



„Chiakunin - Izszu“. Antologia stu poetów japońskich. Ułożył i wstępem opatrzył Remigjusz Kwiatkowski. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Niewielka książeczka, prześlicznie, z wielkim artystycznym smakiem oprawna. Jest to „Chiakunin - Izszu“ czyli „Ze stu poetów po jednej pieśni“ i stanowi tam, na roześmianych w słońcu wyspach japońskich najulubieńszą książkę, którą się umie całą na pamięć od najmłodszych lat, którą się kocha i czi jak relikwję, jak mikada i ojczyznę. Odbiła się w niej, niby w małym lusterku przedziwna dusza japońska, z jej wrodzonym arystokratyzmem uczuć, owa dusza, tak pięściwie kołysząca swe przeżycia, bez względu na to, czy są one wesołe jak widok kwitnącej wiśni, lub smutne, jak chory uśmiech słońca w jesieni. Poprzez lekkie,

Kufry, Walizki, Torby, Nessesery, Galanterja skórzana

E. Unierzyski
Warszawa, Chmielna 3. Telefon 188-24.

„Miodowy miesiąc“ A. Benneta, wydany nakładem redakcji „ZŁOTEGO ROGU“, jest do nabycia w naszej administracji i w księgarniach.



Femina

PODRÓŻE POŚLUBNE.

Niewiele zapewne znajduje się życiowych sytuacji, któreby więcej i częściej służyły za temat do najrozliczniejszych opowiadań, nowel, powieści, komedji, fars, operetek a nawet—dramatów, jak podróże poślubne.

A jednak przedmiot ten choć zużyty, jest i pozostanie zawsze nowym, zajmującym, bo w grę jego wchodzi urok młodości i poezji w połączeniu z pewną pociągającą tajemniczością, budzącą uroczę wspomnienia u tych wszystkich, dla których te chwile brzmiały kiedyś radośnie — minęły; bezpowrotnie — dźwięcząc jednak echem niezagłuszone!

On i ona... oboje piękni i młodzi, kochający się całą siłą gorących porywów, utrzymanych na wodzy ustawami świata — czują się naraz oswobodzeni... formom stało się zadosyć, sankcja społeczna otworzyła im drogę do zupełnego szczęścia — do pełnej swobody, a podróż poślubna jest pierwszym tej swobody etapem.

Jeszcze chwil kilka, kilka uścisków połączonych rodzin, czułe—trochę trwożliwe słowa matki, ostatnie rzucane im pod stopy kwiaty, i oto pociąg rusza powoli, drzwi przedziału zamykają się dyskretnie. Oni—pozostają... „nareszcie sami“. „Enfin seuls“, w tych dwóch słowach

mieści się dla nich wtedy cała symfonia rozkoszy, cała pełnia wynionych marzeń, cała życiowa treść osiągniętego celu!.. Miłość, w całym swym cudnym objawieniu, otacza ich swym czarownym skrzydłem, nuca im pieśń swą odwieczną... Tak było, jest i będzie zapewne, do skończenia wieków.

Oczywiście, jak wszystko co podlega postępowi cywilizacji, tak i poślubne podróże zmieniły swój charakter, swój *sposób bycia*. Przed laty nowo kreowane pary, szukały przedewszystkiem samotności... owej „*chatki pustelnika*“, o której tak cudnie śpiewał nasz wielki poeta:

„Widzieć ptasząt zalecanki,
Słyszeć cudny śpiew słowika...
Dla kochanka i kochanki
Dosyć chatki pustelnika“.

Jeszcze przed pół wiekiem, nowopobrani spędzali „miesiące miodowy“ w uroczych ustrojach, wśród gór i lasów Szwajcarii lub Tyrolu, w małych hotelikach, o prymitywnym komforcie, lecz osłoniętych zielenią i kwieciami. Przytuleni do siebie, zapatrzeni w siebie, stornili od ludzi, żyjąc tylko sobą — zapominali o świecie. Dziś, „chatki pustelników“ zamieniły się na wspaniałe luksusowe hotele, o kosmopolitycznej *modern style* klienteli i takimże sposobie spędzania czasu. Teraźniejszych nowożeńców pociąga to i bawi. Co rano wszyscy hotelowi goście, a więc i młode pary, zjawiają się w modnych a nowiutkich kostjumach sportowych, na hotelowym tarasie, cały dzień schodzi im na różnych grach, wycieczkach, spacerach, co wieczór zbierają się wszyscy w pysznych hotelowych salonach, tonących w świetle i kwiatkach. Cudne, wymarzone wieczorowo-rautowe stroje, blask drogocennych klejnotów, dźwięki doskonałej orkiestry, rozliczne typy urody i elegancji, ciche szepty wytwornych flirtów, figlarny *Tango*,



Jak się odbywa podróż poślubną w XX wieku.

namiętny *Two Steep* — wszystko to składa się na przepyszną a niezwykłą całość, tak bajecznie nęcącą każdego *modern style* człowieka!..

Młodziutka pani powiada sobie, że skoro posiada już męża to chce się z nim wszędzie pokazywać. Młody pan myśli w duchu, że na samotność pozostanie im jeszcze bardzo wiele czasu — to też oboje Igną do świata i ludzi. Nie dziwnego, że po tym całym zgiełku stokroć miłszą i ponętniejszą wydaje się im cisza ich pokoju i *sam na sam*, w którym chwilowo z całym zachwytem pozostają...

Wraz ze zmianą ogólnego charakteru poślubnych podróży, zmieniały się również ich techniczne środki. Po wielkiej pocztowej karocy, nastąpiły: kolej, statki i okręty, automobile a nawet... areoplany i balony. Faktem jest, że pewien amerykański lotnik odbył pierwszą swą poślubną podróż — w areoplanie, ozdobionym w wieńce i kwiaty. Para angielskich narzeczonych, wsiadając do automobilu, zabrała dwóch świadków i pastora, który udzielił im ślubu w trakcie jazdy o szybkości sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Po odbytej ceremonii, młodzi małżonkowie udali się — oczywiście już sami, w dalszą również szybką, poślubną podróż. Na własnych lub najętych jachtach, odbywa się wiele podróży poślubnych. Młodzi śpieszą na lazrowe Śródziemne fale, lub na tajemnicze gębiny Oceanu Spokojnego. Dawna poślubna marszruta dziś już mało kogo zadawalnia. Klasyczna Wenecja, zielone brzegi włoskich jezior, kosmopolityczna Szwajcaria, wszystko to wyszło już z mody, wydaje się monotonnem — zbyt znanem — dzisiejsi małżonkowie jadą do Algieru, do Kairu, do Bombaju. Na grzbie-

tach wielbłądzych przybywają do stóp Piramid, lubują się ciszą pustyni, zachwycając się zielenią oazy...

Są znowu tacy a liczba ich dosyć znaczna, którzy ponadto wszystko przekładają spędzenie tych miodowych chwil, w ciszy i komforcie własnego świeżo usłanego gniazda. Tacy nie wyjeżdżają nigdzie. Bawi ich i cieszy ten początek wspólnego życia te codzienne miłe, rozliczne szczegóły, składające się na ca-

łość domowego, świeżo założonego ogniska, w którym wszystko jest swoje — własne i takim pozostaje. Powoli, stopniowo, gromadzą dookoła siebie wybrane koło przyjaciół i znajomych i to wszystko bywa często wstępem, do normalnego życia, do cichego, spokojnego szczęścia.

Oczywiście, we wszystkich tych przejawach, zaczynającego się wspólnego życia dwojga ludzi dotąd sobie prawie obcych, główną, jeżeli nie jedyną rolę odgrywa ich usposobienie, temperament, nawyknięcia, zamiłowania, jednym słowem całe ich psychologiczne *ja*. Do tego swojego typu, stosują oni wszystko w nowej swej wspólnej egzystencji, zaczynając od podróży poślubnej, która jest [zaakcentowaniem *wspólnych* ich gustów, mówię *wspólnych*, bo inaczej być nie może. Pani, pragnąca odbyć podróż poślubną na grzbiecie wielbłąda, a pan, życzący sobie spędzić miodowy miesiąc w własnym mieszkaniu, z obsługą ulubionego kamerdynera... to odrazu olbrzymia kolizja, to konieczność ustępstwa dla jednej strony, która od początku czuć się będzie pokrzywdzona. To też i tę i wiele innych kwestji, należałoby zobopólnie zdecydować... przed ślubem.

Marcellé.



Ślub w automobilu.



Panna młoda w Japonii.



Obrazy i odgłosy przesilenia.

Ciężkie przesilenie ekonomiczne, którego obrazy i fragmenty podawaliśmy na tem miejscu niejednokrotnie, łódzki komitet giełdowy naskicował w swoim sprawozdaniu rocznem. Pozwolimy sobie zajrzeć do tej relacji.

Właściwie przesilenie trwa już trzeci rok, najbardziej zaś dało się odczuć w latach 1911, 1912 i w pierwszych miesiącach roku bieżącego. Od roku 1911 kryzys stopniowo się potęgował a w końcu r. 1912 doszedł do wysokiego napięcia. Trudności w zbyciu towarów a głównie obawy co do zdolności kredytowej klienteli, trudności orientacji, kto w tych czasach zasługuje na kredyt, działały przygnębiająco; fabryki zaczęły stopniowo zmniejszać swą wytwórczość, skracać dni pracy w tygodniu do 5, 4 a nawet 3.

Wraz z ograniczeniem dni pracy, jak wiadomo, zmniejszyły się zarobki robotników. Komitet giełdowy określa te straty w przybliżeniu na 15% ogólnej sumy zarobków, wypłaconych robotnikom.

Ilość weksli zamiejscowych, zwróconych z protestem do łódzkiego oddziału Banku Państwa, zwiększyła się w r. 1912 w porównaniu z r. 1910 o 81%.

„Jedną z głównych przyczyn przesilenia przemysłowych—czytamy w sprawozdaniu komitetu—była zwykle nadprodukcja, która zapewne wywołała i obecne przesilenie w przemyśle łódzkim, Rewolucyjne lata i wojna w r. 1904—1906, zatamowały na pewien czas rozwój przemysłowy w Łodzi, lecz była to tylko stagnacja chwilowa, gdyż wkrótce życie przemysłowe w Łodzi zabiło tam żywszem tętnem. Normalne stosunki polityczne i ekonomiczne nie pozwoliły w ciągu pewnego czasu na uwidocznienie faktu, że wytworzyła się niewspółmierność pomiędzy zapotrzebowaniem i zaopieraniem i trzeba było tylko impulsu, ażeby zachwiać tę sztucznie utrzymywaną równowagę, a takich impulsów w latach 1911—1912 było bardzo dużo“.

„Jest rzeczą powszechnie znaną, że główną kategorię odbiorców łódzkich wyrobów włóknistych stanowi ludność włościańska Cesarstwa, której dobrobyt jest w znacznej mierze zależny od warunków klimatycznych. Lata 1911 i 1912 były pod tym względem niepomyślne dla rolników w Cesarstwie; w r. 1911 ucierpiały od nieurodzaju południowe i nadwołżańskie gubernie a w 1912 r. obfite deszcze, które padały od połowy lipca do późnej jesieni, znacznie utrudniły

zbiory zboża. Nieurodzaj w tych guberniach, których mieszkańcy są najpoważniejszymi odbiorcami wyrobów łódzkich zmniejszył znacznie zdolność nabywczą włościan i spowodował zmniejszony popyt na wyroby włókniste.

Lekka zima popsowała drogi w guberniach południowych, co przy mało rozwiniętej sieci kolejowej uniemożliwiło mieszkańcom wiosek komunikowanie się z miastem, jak również dowóz towarów z większych ognisk handlu do mniejszych miast i wsi, pozbawionych szos i kolei żelaznych.

Wskutek tych przyczyn zmniejszyło się zapotrzebowanie na wyroby włókniste przez bezpośrednich odbiorców—włościan, co dotkliwie odczuł handlujący temi towarami. Daleko większa niż zwykle pozostałość w składach towarów niesprzedanych unieruchomiła znaczną część kapitału obrotowego i zmusiła do szukania, który jednak skutkiem zawikłań politycznych na wschodzie nie tylko był drogi, lecz i bardzo utrudniony.

Liczne przedsiębiorstwa handlowe, operujące małym kapitałem obrotowym, nie mogąc przezwyciężyć piętających się trudności płatniczych, upadały, narażając na stratę i powodując bankructwa innych, większych.

Trudne położenie pogorszyła ta okoliczność, że niektóre firmy w Cesarstwie pod pretekstem ogólnego przesilenia, przestały regulować swe zobowiązania, co uchodziło i uchodzi bezkarnie wskutek braku rejestru firmowego i wadliwego prawodawstwa handlowego, obowiązującego w Rosji. Te niczem nieusprawiedliwione bankructwa stały się istną plagą w dzisiejszych stosunkach handlowych i wywołały już odpowiednią reakcję w postaci szeregu projektów prawodawczych, opracowanych przez komitet moskiewski, który utworzono w celu wyszukania środków do walki z dłużnikami niewypłacalnymi. Projekt prawa o zmianie właściwości firmy jest już wniesiony do Dumy państwowej i prawdopodobnie będzie rozpatrzony i przyjęty przez ciało prawodawcze w roku bieżącym.

Wreszcie na przesilenie obecne miały wpływ niewątpliwie, zdaniem łódzkiego Komitetu giełdowego, także ograniczenia pobytu kupców—żydów w wewnętrznych guberniach Rosji, jako też masowe wydalania żydów z tych miejscowości, w których dawno osiedli i prowadzili handel.

„Wysiedleni kupey nie mogli wypełnić ciążących na nich zobowiązań a ogólny nastrój trwożliwy, obawa o jutro, udzieliły się i tym, względem których rygor jeszcze nie był stosowany. Taki nastrój—rzecz jasna—nie usposo-

biał do zawierania większych tranzakcji handlowych“.

Przesilenie odbiło się w niejednakowym stopniu na różnych przedsiębiorstwach przemysłowych w Łodzi. Przedsiębiorstwa oparte na podstawach realnych a stanowiące znaczną większość w Łodzi, spełniają nadal swoje zobowiązania i skutecznie wytrzymują obecne przesilenie, pomimo znacznych strat, spowodowanych przez odbiorców niewypłacalnych. Natomiast drobne przedsiębiorstwa w przemyśle włóknistym, nie mające trwałych podstaw dla swego istnienia, oparte jedynie na kredycie, najbardziej ucierpiały.

Przewidywania na przyszłość Komitet giełdowy formuluje w sposób następujący:

„Pewne polepszenie powinno nastąpić: upadek w Cesarstwie wielu drobniejszych przedsiębiorstw handlowych, nie zasługujących na taki kredyt, jaki był udzielany, powinien wpłynąć na uzdrowienie stosunków kredytowych; zredukowanie produkcji przez fabryki łódzkie, usunie nadmierne zaofiarowania, co oddziała dodatnio na stan rynku. Jeżeli rok 1913 będzie pomyślniejszy dla rolnictwa w Cesarstwie, niż lata poprzednie i skończy się wojna na półwyspie Bałkańskim, to zapewne poprawa stosunków nastąpi w krótkim czasie“.

* * *

Zanim nastąpi przewidywana przez Łódzki Komitet giełdowy poprawa stosunków i położenia ekonomicznego, skutki ciężkiego przesilenia dotąd jeszcze się ujawniają w różnych postaciach. Między innymi, takim znamienym objawem jest strajk w tkalniach zarobkowych pabjanickich: Steina, następnie Zylbersteina, a dalej w ciągu kilku dni objął inne fabryki. Wreszcie płomień niezadowolonia ogarnął wszystkie tkal-

nie pabjanickie i zaledwie kilka małych fabryk nie wzięło udziału w tym strajku.

Przyczyną jego były bardzo niskie zarobki, ciągle obniżanie płacy, nawet bez żadnych wiadomości.

Jeszcze w roku w przeszłym, we wrześniu, wybuchnął strajk, którego owocem było zdobycie lepszych warunków. Opracowano cennik wszystkich robót, wchodzących w zakres tkactwa, na który zgodzili się fabrykanci i robotnicy. Cennik ten potwierdził także własnoręcznym podpisem policmajster Pabjanic, p. Mlaczkow.

W kilka tygodni po owym strajku fabrykanci naraz cofnęli zapewnioną i zaakceptowaną podwyżkę i z tego powodu robotnicy zastrajkowali na nowo; ale tym razem nie odnieśli zwycięstwa i musieli się zgodzić na płacę zniżoną. Nie zrezygnowali jednak zupełnie ze swych żądań. W maju r. b. niektóre fabryki proponowały, żeby robotnicy pracowali w godzinach [nieobjętych dniem roboczym, a fabryka Stahla, z powodu znacznych zamówień, miała pracować nawet na dwie zmiany.

Robotnicy skorzystali z chwili większego ożywienia i chcąc skuteczniej wywalczyć swoje żądania, zastrejkowali wtedy, gdy fabrykom zależy właśnie na pospiesznym wykonaniu zamówień. Jak widać jednak z przebiegu strajku, o porozumienie całkowite i złagodzenie tych zaognień jest dość trudno. Dn. 19 maja odbyło się zebranie właścicieli tkalni zarobnych, na którym roztrząsano sprawę, dotyczące bezrobocia i zgodzono się podwyższyć płacę podług cennika zeszłorocznego. Robotnicy wszakże nie chcieli się zgodzić i stoją niezłomnie przy swoich żądaniach, znacznie przewyższających te ustępstwa, jakie im dają fabrykanci. *Z. Pietkiewicz.*

O SŁUŻBĘ DOMOWĄ Z ŁODZI DO PETERSBURGA.

Otrzymałem z Petersburga list, który uważam za stosowne podać poniżej w całości.

Szanowny Panie.

Kreśli Pan w „Złotym Rogu“ takie okropne obrazy nędzy łódzkiej! Nie wiem, czy myślą moją łatwo można byłoby uskutecznić i czy dobre dałaby rezultaty, to jednak chcę ją Panu przedstawić. W Petersburgu trudno o dobrą służbę domową, zwyczajna służąca „do wszystkiego“ pobiera 8 — 10 r. miesięcznie, kucharki średnio 10 — 12, wykwalifikowane kucharki do 25 r. miesięcznie, o praczkę dobrą t. j. trzeźwą, uczciwą i któraby znośnie prała też nie łatwo — płaci się od 75 — 1 r. dziennie i daje się jedzenie.

Czyż, Szanowny Panie, nie można byłoby skierować części tych kobiet bez zarobku do Towarz. dobroczynności przy kościele św. Katarzyny, które utrzymuje biuro dla najmu służby. Żeby posłano tylko uczciwe dziewczęta, które nic nie umiejąc nie żądałyby zbyt dużo od razu a zgodziły się na 5 — 7 r. miesięcznie stosownie do swych uzdolnień, pewnieby znalazły robotę. Trzeba tylko baczną zwrócić uwagę żeby nie przysyłać nieuczciwych, bo gdy z początku publiczność wyrobi sobie złą opinię, nikt i dobrych nie zechce następnie brać.

W Petersburgu i tak jest rozpowszechnione mniemanie, że służące-polki to wielkie brudaki. Myśl tę nasunęła mi następująca okoliczność. Służąca jedna, na nasz adres podała ogłoszenie do gazet i zapotrzebowanie przeszło wszelkie oczekiwania: przez półtorej doby przyszło 48 listów i 7 pań osobiście się zgłosiło. Napisała wprawdzie, że jest bardzo dobrą kucharką i, że wybrała bardzo dobry czas, bo zaraz po świętach, kiedy masa służących zmienia miejsca, dużo wyjeżdża na wieś, ale w każdym razie widoczne, jakie jest zapotrzebowanie. Czy nie lepiejby zrobiło wiele dziewcząt, zamiast uczyć się krawiectwa, żeby nauczyły się kucharstwa. Będę szczęśliwa, jeżeli moja myśl rzeczywiście da się uskutecznić i choć kilku biednym przyniesie ulgę.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku z jakim zostaję.

Marja Kubicka.

Nad projektowaną powyżej emigracją zarobkową kucharek polskich do Petersburga warto się zastanowić. Autorka tego projektu, ma rzeczywiście na myśli zaopatrzenie domów polskich w kucharki — polki. Inaczej zresztą nie można tego rozumieć. Kucharka polka nie będzie w Petersburgu poszukiwana przez rosjan.

Z. P.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

17)

BOMATER.

POWIEŚĆ.

Siedziało tam już trzech piechurów francuskich. Nie podali mu pomocy. Ziębnięci nie mogli poruszać członkami. Byli jak sparaliżowani. Kłapali jeno zębami. I on kłapał... Nie było podobna wymówić słowa, krzyknąć...

Czekali ratunku... Jak długo to trwało? Kto zliczy czas trwania podobnej męczarni?

Skoro ich wreszcie dojrzano z brzegu i przybiła łódź z pontonierami wszyscy byli tak skostniali, że zwalono ich do łodzi, jak rzeczy martwe.

Poczcivi pontonierzy przykryli ziębniętych z litości własnymi kożuchami. Ale wnet kożuchy zabrali i znowu pozostał w jednym mundurze, przemoczony. Szedł dalej i dalej dygocąc z zimna...

A teraz mu ciepło, wygodnie, dobrze... Ach jak dobrze! Rany na głowie pod bandażami palą, ale to nie jest uczucie zbyt nieprzyjemne. Owszem zda się, że potęguje ono jeszcze bardziej stan błogości.

Rany te otrzymał w jej obecności... poniekąd w jej obronie.

Widziała, jak szpadą swoją odparował cięcie, dla niej przeznaczone.

Panna Krystyna nie powie mu już nigdy słowa tego, które tak twardo rzuciła wtedy w Wilnie w salonie księcia, kiedy on się sztuką swoją artystowską zastawiał, iż muzom służąc, wolny jest od służby Belonie.

Jużci od księcia to miał, z którym muzykując przy klawikordzie nieraz namówić się mógł także do syta o sprawach narodowych. Potężny tem magnat, artysta w każdym calu, człowiek piękny, wytworny, ujmujący, umysł niezaprzeczenie podniosły szcze-

gólniejszy czar wywierał na wszystkich, do których zbliżyć się raczył. On to wykladał szeroko i przekonywująco, że ojczyzna, iżby w cywilizacji innym narodom dorównać mogła, musi mieć nie tylko bitnych żołnierzy ale także i wybitnych artystów. Książę Michał, sam z rodu rycerzy cenił wysoko męstwo i animusz rycerski Polaków, ale pragnął widzieć także w Polsce rozkwit sztuk i umiejętności. Rad był podnieść w otoczeniu swoim zamiłowania estetyczne i niekiedy dziwne na ten temat prawil rzeczy.

Jan słuchał tego z przejęciem i uwierzył, że jako artysta jest powołany do zadań doniosłych. Był ze siebie dumny.

Ale przyszła ukochana kobieta i powiedziała mu, że w chwili, kiedy Wielki Napoleon postanowił wskrziesić Polskę i powołuje naród pod broń, tylko niepoczcivi mogą wymawiać się od tego szaczonego obowiązku.

Jedna jest droga honoru dla polaka — stanąć w szeregach!

Miała ogień w oczach i pioruny w ustach.

Jednym słowem zniweczyła wpływ księcia.

Jan nie był politykiem. Nie zastanawiał się, jak inni statyści litewscy, czy trzymanie się sprawy napoleońskiej jest słuszne i może być dla nas pożyteczne. Wystarczyło mu to, że panna Krystyna uważała by go za niepoczciwego, gdyby się ze spełnieniem obowiązku ociągał pod jakimkolwiek pozorem.

Zaciągnął się natychmiast do wojska.

Pokutowały w nim jednak jeszcze idee sączone systematycznie w duszę jego przez Ogińskiego. Nie umiał w sobie zbudzić tego entuzjazmu, jaki ogarniał ludność Wilna, w chwili wkroczenia cesarza w mury miasta. Owszem, odpychało go coś od tego okrutnego szafarza krwi ludzkiej. Przyczem zaszła pewna okoliczność, która bezpośrednio dotknęła go najboleśniej.

Było to w chwili prezentacji Napoleo-
nowi profesorów uniwersytetu wileńskiego.
Jan już w mundurze podporucznika pułku
strzelców litewskich, asystował przy tej ce-
remonji tak blisko, że mógł słyszeć słowa
cesarza.

Oburzony był pełnym jakby lekcewaze-
nia tonem, z jakim ten parwenjusz trakto-
wał najszanowniejszych naszych uczonych,
jak drwiąco niemal wypytywał ich o stan
uczelni i nauki, jakie tam wykładano. Naj-
jaskrawiej zaznaczyło się to kiedy mu przed-
stawiono pana Euzebjusza Słowackiego, pro-
fesora poezji i literatury polskiej.

— Ach, ach, to polacy mają swoją lite-
raturę, zawołał ze śmiechem, nie wiedzia-
łem o tem.

I odwrócił się na pięcie, ruchem aktora,
grającego rolę bufonów.

* * *

W czasie pobytu hrabiny Potockiej
u Księcia Józefa, w chwili kiedy hrabina
oglądała grubą księgę, jedyny łup, jaki
książę przywiózł z wyprawy, wszedł adju-
tant i oznajmił, że wracająca z wojny garść
żołnierzy pragnie się widzieć z wodzem.

— Pocziwe chłopaki! Cóż tam takiego?

— Wasza książęca mość, to wiarusy na-
sze chcą ocalone orły oddać do rąk wodzo-
wi naczelnemu...

Książę klasnął w ręce radośnie.

— A zuchy!

Porwał się szybko, ażeby wejść na po-
dwórce, ale z nogą jego było gorzej niż
mniemał. Gwałtowniejszy ruch wywołał zno-
wu silny ból w kolanie; wsparł się więc na
ramieniu adjutanta.

Ale i ta pomoc okazała się niewystar-
czająca. Służba musiała go znieść ze scho-
dów. Dopiero na dziedzińcu stanął wypro-
stowany przed uszykowanymi w szeregi żoł-
nierzami.

(d. c. n.)



DZIEDZIC.

NOVELA.

Ułożył więc wnuk zabita przez zbója,
do łóżka — z kieszeni jej wywabił kieskę,
z kieski wyłuścił zawartość — zadzwonił
na Julkę, wyszcypał ją po policzkach, —
zlecił jej czuwać przy śpiącej na swem zwy-
czajnym miejscu (sofa) — i wyszedł z po-
koju.

W olbrzymiej sieni było pusto. Jedna
wielka, świecąca latarnia, bezsilna stróżka,
strzegła swemi blaskami porządku w ho-
telu.

Edward podszedł na palcach do kabiny
kelnerów — pijatyka szła tam w najlepsze.

— Nic nowego — powiedział.

— Na pohybel temu domowi — i za-
brał się furtką do wyjścia. Po drodze zo-
czył woźnicę hotelowego, wynoszącego z ko-
mórki ukradziony owies. Przypadł doń,
chciał zetrzeć, ale wstyd mu było powiedzieć
„złodzieju“ — więc trzasnął w palce, zażą-
dał zapalki do papierosa i... wybiegł z ho-
telu.

Zaniewski czekał już w kawiarni „pod
podwiązką“. Chłopiec dwudziestoletni, wiel-
ki mechanik, naprawiacz i znawca zegar-
ków, sidełek, wędek na ryby, w potrzebie
szewc, krawiec, kompozytor przeróżnych mik-
stur, pigularz — krótko: duch uniwersalny.

On to skonstruował „szerszenia od spo-
du“, którego przenikliwość objaśni parę
wierszy.

Przed frontem hotelu przypierała do
ściany ławka, zapraszająco wygodna. Na
niej siadywał stary Poliński przed połud-
niem paląc fajkę i „odbierając“ od ludzi
„dzień dobry“. Po jego śmierci zaczęli za-
siadać na niej śmielsi przechodnie. Zaniew-
ski wybił w niej dziurkę, przepuścił długą
szpilkę, umocował ją od dołu na sprężynce,
a miejsce działania zagłaskał dla niepozna-
ki kitem. Od sprężynki tej prowadziła taś-
ma, mająca ujście niewidoczne. W danym
wypadku przysiadł się wielki mechanik
koło niepowołanego gościa, zaczytywał się
w książce — a równocześnie pociągał taśmę,
stopniując siłę nakłucia. Intruz mniemał
zrazu, że owad może jakiś nieprzystojny,
stworzony z prochów, błąka się, żerując sprag-

niony. Podnosił się więc z lekka, poprawiał, lecz gdy iglica przekroczyła maximum przypuszczalnej dolegliwości, zrywał się oglądał niby niechętnie opuszczone siedlisko i odchodził, aby więcej nie wrócić.

Wynalazca szerszenia już od miesiąca dobrego sponurzał, zbiedniał i chodził strapiiony. Mechaniczne pomysły opuściły go — balony, katapulty, samoczynne obuwie dla piechoty, tani tytoń z niewiadomych liści — wszystko to wyprowadziło mu się z przebo- gatej, rojnej głowy. Zaniewski bowiem wchodził w fazę. Zbliżał się ów dzień, w którym ojciec jego przed laty popełnił samobójstwo. ba! nawet data otrucia się matki wypadła w tym kwartale.

Rocznicowy ten nastrój puklerzył młodziana przed materjalno-zalotnymi umizgami dwu służebnych dam kawiarenki podwiązkowej — panny Toni, i — że się znów tak wyrażę, „panny“ Broni.

Tonia, oblaźła blondyna o wodnistem ciele i omal że nie łysej głowie, pożyczkami włosionej — Bronia bruneta konwencjonalnie ładna, ledwo zmiatająca złażonemi, kelnerskiemi nogami.

Blizniacza dwójca fruwała jako émy oko- ło serca (pularesu) Zaniewskiego; że zaś melancholik żadnych życiowych nie zdradzał skłonności, przeto odbiegła go markotnie, zachowując tęsknotę do ideałów aż do chwili, kiedy przyjdzie Edzio „dieser von der Grossmama“.

Wkrótce gość pożądaný, jakby telepa- tycznie tknięty, zajaśniał na progu. Do ka- wiarni wchodził on drogą wstydliwą, to jest podwojami tylnemi, od podwórza. Zarząd domu przewidział snać potrzebę uboczności, właściwą wszelkiemu wiekowi, wszelkiemu powołaniu — a nawet wszelkim matado- rom.

Rozległy się wraz powitania niewieście, w których żeńskie, nocne dormozjady na- śladują głodną elegancję męskich trutniów, podając ręce pod nos, zginając się w pałąk, tykając siebie przerażającemi zdrobniałościami i rumor podnosząc, jakby kto zmartwych- powstał.

Ale Edward był dziś komicznie chłodny. Usta rozwarł bokiem do uśmiechu Mefista, i zanim damy doszły do głównej formy wita- lnej „was trinken wir Edi“?.. pośpieszył z przemową, obracając ku nimfom słowa lotne, niematerjalne, niezapraszałne:

— Rozejdźcie się w pokoju, siostry — przebrzmijcie jak echo, alkoholicznie wy- chryple i niechaj przejdę mimo was, jak byście były powietrzem...

— Morowem powietrzem — zadudnił Za- niewski, poznawszy, iż druh nadciągnął.

Słowiczki kawiarniane umilkły, widząc w tem „zgniły dowcip” i przerzuciły się do siedzącego podle dyurnisty, który przedsta- wiał im siłę dwu czystych herbat z jednym rumem i pięciu papierów.

Odchodząc, zezowały jeszcze ku Edwar- dowi, lecz ów nie czuł już przez przestrze- nie. Usiadł tylko bezsłownie naprzeciw przy- jaciela i szerokie swe, brązowe oczy umo- rzył na długo w jego gryźliwym obliczu. Po- tem brzęknął:

— Ha?

A Zaniewski:

— Uhum? Nooo, tak!

Pauza.

— Ciągnie cię do przodków swoich?

— A ciągnie.

— Jakże? kulą czy trucizną?

— Nie. Mam wynalazek.

— Szybkiej śmierci, czy oryginalnej?

— Skok do krateru.

— Skąd go weźmiesz. Trzeba wyjechać na południe. A pieniądze?

— Tegom jeszcze nie wynalazł.

(d. c. n.).



3) STEFANJA ZAJASZEWICZOWA.

REWOLUCJONISTA.

NOVELA.

Wszystko to, na co potrzyła Iza, było zwykle i codzienne, a jednak niemiłe na niej wywarło wrażenie. Może dlatego, że więcej niż zwykle dnia tego nerwy dawały jej się we znaki.

Przyśpieszyła kroku, nie przestając jed- nak rozglądać się uważnie.

Po chwili zobaczyła gromadkę dzieci, czemś mocno zajęta. Zatrzymała się, pa- trząc.

Jakiś wyrostek przybijał gwoździami żywego jastrzębia nad drzwiami stajni. Dzieci śmiały się i klaskały w ręce z uciechy.

Oburzyły dziwnie Izę napotykaną na każdym kroku okrucieństwa.

— Czemu on tak męczy ptaka? Jak możecie pozwolić! — zawołała z wybuchem do przyglądającej się temu spokojnie żebraczki.

Kobieta uśmiechnęła się.

— A dyc to na szczęście, paniulku! Zeby gadzina się wiodła! rzekła, jakby ze zdziwieniem, że ktoś może nie wiedzieć o zdawanym zachowywanym obyczaju.

Schyliła się i objęła kolana Izy.

— A niech tam Paniezus da paniulce, cego tylko sobie zaząda... i ta Matka nasza... i święty Józef... za dobrość i uczciwe serce. A żeby paniulecke pobłogosławił na majątku, na chudobie, na dziateczkach... żeby zaś me, sirote, chciała poratować... recytowała baba, rzucając raz po raz na Izę chytne wejrzeńce.

Dość miała Iza wiejskiej sielanki. Wyrwała się z obejmujących ją ramion żebraczki i szybkim krokiem pobiegła ku dworowi.

Na ganku zastała Zarzeńskiego.

Zdenerwowana, wzburzona, wypowiedziała jednym tchem wszystko, co wpadło jej w oczy przed chwilą.

— Ludzie są źli! bezmyślni! ohydni! mówiła gorączkowo. Ach, ta potworna przemoc człowieka nad zwierzęciem! Mniej nad tem zastanawiałam się dawniej... Doprawdy, człowiek jest urodzonym zbrodniarzem!

Zarzeński słuchał jej wybuchu spokojnie. Poprawił ją tylko z profesorską powagą:

— Zbrodniarzem — tak! zarówno ucylizowany, jak i dziki. Ta jest tylko pomiędzy nimi różnica, że prostak o humanitarności nie rozprawia. Było tak i jest, że dla słabszych mamy mord — w najlepszym razie — niewolę. Jednakże znać postęp..

Iza podniosła dwa błyszczące szafiry ócz, z niemem zapytaniem, ku twarzy urodziwego mentora.

Ten ciągnął swój wykład dalej:

— Postęp jest... Dziś człowiek piecze z sosem ciele, które jego praszczur z jaskini zwykł był jadać na świeżo. Dobra gospodyni podskubuje gęś, lub zarzyna ją wolno i umiejętnie, żeby krwi więcej wyciekło, gdy przedtem jej pramatka ukrecała łebek ptakowi, bez dalszych ceregieli...

— Okropność! Nienawidzę ludzi! Nie-

nawidzę siebie samą, bo tak postępuję, jak wszyscy! Ha! ha! frazesy o miłosierdziu, z wilezej paszczęki wychodzące... Ironio! burzyła się Iza.

Zarzeński uśmiechał się pod wąsem.

— Czemu pani składa winę tego, co się dzieje, na barki ludzi? Ci biedacy los swój zaledwie unieść zdołają!

— A któż winien? zadziwiła się Iza.

— Natura! Jej prawem jest morderstwo, druzgotanie słabych, przymus jednostki dla celów gatunku. Kultura ze swej strony, jest tym wytrwałym lekarzem, który okłada maściami niegojące się nigdy rany ludzkości... Łudzi się, że ją uzdrowi!

— Zło wszędzie i tylko zło... — szepnęła Iza.

Zarzeński potrząsnął głową.

— Zbyteczny wyraz w mowie ludzkiej: zło... Niema złego. Jest — wola natury.

— jednak — bywają czyny altruistyczne — rzadko wprawdzie... olbrzymie cnoty, którymi górują nad ludzkością niektóre osobniki... wtrąciła nieśmiało Iza. Zdarza się niekiedy dobro...

Zarzeński wzruszył ramionami.

— Cnót niema. Jest tylko tęsknota za niemi... Stąd rodzi się poezja i dobrowolne a niepotrzebne męczeństwo...

Zawahał się.

— Ale po co ja to wszystko mówię pani? Złudzenie jedynie pozwala nie ztorzeczyć życiu... jest szczęściem... Nie chcę pani szczęścia pozbawiać! — dodał jakby z litością, obejmując uważnym wejrzeńcem jej młodą, prawie dziewczęcą postać w modnej obcisłej sukni.

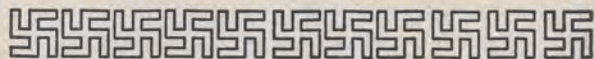
Iza nic nie odpowiedziała. Schyliła nisko głowę i roześmiała się krótko. Zarzeński spojrział na nią badawczo.

Po chwili mówił dalej, wiedziony snąć ulubioną myślą.

— Powiadają mi na pociechę: pracuj dla wszystkich pokoleń! Mam więc być mierzwą następnych po mnie istnień, a te — znów następnych! Kiedyż kres?

Wiecznie przetwarzający się materiał... niezaspokojone nigdy pożądanie owoców z drzewa wiadomości i szczęścia, które niewiadomo komu i niewiadomo kiedy dojrzeć mają!

(d. c. n.)



Cudowne dziecko.

(Z duńskiego).

(OPOWIEŚĆ).

W Chicago dostał w prezencie złote skrzypce, ozdobione brylantami. Ofiarowano mu je na jednym z koncertów. Pan Emmanuelo de las Foresas był „zajęty” tego wieczoru (tłuste blondynki amerykańskie często przeszkadzały panu Emmanuelowi de las Foresas być obecnym na koncertach...), to też nie widział tych skrzypiec.

Nazajutrz rano Karolek kazał szwajcarowi hotelowemu sprzedać skrzypce i odesłał pieniądze matce do Paryża.

Pijąc czekoladę, pan de las Foresas czytał gazety — i naraz przeczytał o skrzypcach.

Chciał je zobaczyć.

— Sprzedałem je, — rzekł Karolek.

— Co?! — Pan de las Foresas o mało, że nie upuścił filiżanki.

— Tak.

Karolek spojrział na swego ojca.

— Posłałem pieniądze do domu, — dodał.

Pan Emmanuelo de las Foresas siedział na łóżku z filiżanką w zdrewniałej ręce i nie mówił ani słowa.

Karolek miał wtedy przedziwną twarz!

Mały cudowny skrzypek wyrósł już na tyle, że pan Teodor Franz począł mu dawać na afiszach lat dziesięć. Tak było w Kalifornji. Zwiedzili Hawanę, Meksyk, Brazylię.

— Łaskawy panie, — rzekł pan Teodor Franz do pana Emmanuelo de las Foresas. — Pluję sobie poprostu w oczy, ale takie to już czasy, łaskawy panie! Jedziemy do Australji...

Pan Emmanuelo de las Foresas zaś był zdania, że wszelkie pieniądze są jednako dobre.

Wyjechali do Australji.

Karolek był posłuszny. Zresztą, nikt go tu o zdanie nie pytał.

Kiedy pan Teodor Franz wieczorem, przy szklance wina patrzył na Karolka drzemiącego na krześle, z wiszącymi rękoma i bladą twarzą, to mówił niekiedy do pana Emmanuelo de las Foresas:

— Wie pan co? Karolek, tak prawdę powiedziawszy, to wcale niezły chłopak! Jak pan sam widzisz, najdogodniejsze jest to, że z dziećmi nigdy nie trzeba odkładać koncertu. To nie tenorzy, którzy naraz, ni stąd ni zowąd, oświadczają, że są „chorzy”; dzieci wszystko znoszą... Tak jest, człowiek zawsze wie, jak ma z nimi postąpić... Szczerze mówię, jest to wprost moją pasją: „fabrykować cudowne dzieci!”

Cudowny skrzypek, Charlot Dupont, naogół pozwalał obchodzić się z sobą jak z katarynką. Niekiedy jednak i on miewał parokszymy nieposłuszeństwa.

Razu pewnego, Karolek, układając swój kosz, powymyślał jedną po drugiej swe zabawki i — połamał je. Potłukł je o krawędzie krze-

seł, podeptał na miazgę na podłodze. Przycisnął stalową obręcz ku ścianie z całej siły tak, że ta się zgięła — Karolek aż stękał ze zmęczenia...

Pan Emmanuelo de las Foresas wszedłszy, ujrzał owe spustoszenie. Karolek stał z ponsonwą twarzą pośród ruin...

— Co to ma znaczyć?! Co się tu stało z zabawkami?!

— Połamałem je, — rzekł Karolek.

— Co? Tyś zwarjował?!

Karolek ścisnął pięści. Rzekł:

— Nie wezmę ich ze sobą.

Spojrzał ojcę wprost w twarz:

— Daj mi już raz spokój! Nie wezmę ich ze sobą!

Pan Emmanuelo de las Foresas... dał mu spokój! Pan Emmanuelo de las Foresas miewał także swoje chwile słabości, zabrał się do zbierania połamanych zabawek...

Wszyscy przechodnie oglądali się na Karolka na ulicach. Taki był śmieszny w swej bluzie, z długimi zwisającymi rękami i cienkimi nogami, które, poczawszy od kolan, były zupełnie gołe. Pan Teodor Franz kupił mu słomiany kapelusz.

Ulicznicy nieraz obrzucali go wyzwiskami.

Raz Karolek przechodził koło całej chmary malców, którzy wybiegli ze szkoły.

— Patrzcie, jaki wielki, a w bluzie! Ej, ty dryblasie! — zawołał jeden.

Powstał cały koncert — gwizdania, śmiechu i wrzasku:

— Hej ty, gdzie jest twoja mamka?

— Słuchaj, kto ci też majtki zapina?

— Czy ty już masz piąty rok?..

Potem zaśpiewano chórem:

Baran w bluzie! Baran w bluzie —
Pewno ma pięć latek?

Baran w bluzie! Baran w bluzie —
Oj, jaki gagatek!..

Karolek porwał z bruku kamień i cisnął nim w malców.

Po tej awanturze nie sposób go już było wyciągnąć więcej na ulicę...

Pan Teodor Franz zmuszony był przeto uciekać się aż do swego autorytetu.

— Nie pójdę! Karolek cisnął się do ściany, w przeświadczeniu, że go od niej nikt nie oderwie...

— Nie chcę!

Pan Teodor Franz gotów był nawet dać mu w bok kuksa. Karolek stał zgięty, ze ściśniętymi zębami. Oczy mu pałały.

Pan Teodor Franz podniósł rękę.

— Nie pójdę w bluzie, — oświadczył Karolek.

— Nie pójdziesz w bluzie?..

— Tak?

Pan Teodor Franz popatrzał na Karolka. Szczupły a wysoki — o, jakże śmieszny był on w swej bluzie dziecięcej! Była istotnie dla niego za wązka...

Pan Teodor Franz teraz dopiero zauważył, że bluza ta już więcej nie nadaje się dla Karolka.

Karolek otrzymał kurtkę.

Wkrótce miał skończyć czternaście lat.

Charlot Dupont z tournée wrócił do Europy.

Pan Teodor Franz postanowił ułożyć „bukiet muzyczny“. W tym też celu postanowił zgromadzić sześć wszechświatowych znakomitości na jednym afiszu.

— Publiczność dziś jest nieczuła, trzeba tedy brać ją gwałtem.

Pan Teodor Franz bajdurzył coś o „świecącym kawałku Mlecznej Drogi — sztuki europejskiej“. Cudowny skrzypek, Charlot Dupont — do tego „kawałka“.

Towarzystwo składało się ze: śpiewaczki (kontralto) ulubionej przez pana Emmanuela de las Foresas tuszy, barytona, słodkiego tenora lirycznego, wiolenczelisty oraz pani Simonaine — pianistki.

Objechano całą Europę z dwoma programami.

— Łaskawy panie, — mówił pan Teodor Franz, — biorę przedział dla palących.

Pan Emmanuelo de las Foresas brał również przedział dla palących.

Reszta jechała razem.

Przedział był zawalony futrami oraz brudnymi poduszkami. Kontralto jeździła bez gorsetu w czerwonej tunice. Zanurzała się całym ciałem w poduszki, jakgdyby miała chęć stanąć na głowie... Mężczyźni odwracali się twarzą ku ścianie i — chrapali.

„Bukiet muzyczny“, pomysłu pana Teodora Franza należał do rodzaju nijakiego: nikt tu się bowiem przed nikim nie krępował...

Pianistce wielce dokuczał upał. Rozbierała się tedy do połowy i zwijała w kłębek jak kotka, objawsz głowę gołemi rękoma.

Karolek budził się i rozglądał. Długo patrzył na okrągłe ramiona pianistki.

Nikt nie mógł spać dłużej. Siedzieli tedy z bezmyślnymi twarzami i tępo patrzyli jedno na drugie. Pianistka uprawiała gimnastykę palcy na niemej klawiaturze.

W międzyczasie towarzystwo ułożyło cztery doweipy, które powtarzano po kilka razy w ciągu jednej godziny.

Poczem znowu wszyscy zasypiali.

Karolek wstawał pociechutku i z ciekawością patrzył na dziecięcą twarzyczkę pianistki o łagodnych rzęsach. Karolek długo mógł nie spać w pociągu. Siedział w milczeniu, godzina za godziną, utkwivszy wzrok w śpiącej madame Simonaine. Nie poruszał się. Bał się, że ktoś się naraz obudzi. Tak dobrze mu było siedzieć samemu w kącie i patrzeć, jak ona śpi!

Gdy się ćwiczyła, otrzymał pozwolenie podtrzymywania jej niemej klawiatury — na swoich kolanach.

Dojeżdżano do miejsca, gdzie można było zjeść obiad. Damy przeciągały puszką z pudrem kilkakrotnie po twarzy lub okrywały się narzutkami. Karolek zawsze wybiegał pierwszy.

Stojąc na najlepszym miejscu, oczekiwał panią Simonaine.

Było coniemiarą śmiechu z „długiego Charlota“ i jego króciutkich majtek.

Najmniejszym powodzeniem z pośród „bukietu muzycznego“, pomysłu pana Teodora Franza, cieszył się właśnie Karolek. Stał się też odąd bardzo wstydlivy. Sterczał na estradzie ze swemi długimi rękami i zginał kolana, jakgdyby pragnąc ukryć swe własne nogi.

— Jak ty stoisz! — no, powiedz tylko, jak ty stoisz?

Pan Emmanuelo de las Foresas rzucał się...

— Czy ty może masz zamiar grać im we śnie? — co, do tego zmierzasz? Idź, ty idjoto!

Karolek wchodził na estradę jeszcze bardziej zażenowany.

Pan de las Foresas stał za portjera.

(d. c. n.)



JAKÓB WASSERMANN.

4)

Usta, które nie zaznały pocałunku.

(Z niemieckiego).

Filip Unruh podał młodemu mężczyźnie rękę, ale trochę bojaźliwie i niepewnie. Siebengeist uśmiechnął się radośnie i z prostotą, pokazując białe zęby.

— Dlatego powierzam panu to wszystko, — powiedział w zwykły sobie, ujmujący sposób, — że pan jest takim spokojnym człowiekiem, takim spokojnym przyjacielem. Gdyby pan miał więcej zaufania we własne siły, mógłby pan zająć dalej, niż pan zaszedł. Niech mi pan tylko dokładnie oznajmi wszystko, czego się pan tam dowie i niech pan dobrze uważa. Niema pan pojęcia, jak mi na tem zależy. Niech pan uważa na każde zmruczenie oczu, na każdy odcień myśli w rozmowie. Tak wiele wypowiadają ludzie bez słów! Niech mi pan dziś dopomoże, a stanie się pan moim najmilszym przyjacielem.

Słowa te wypowiedział Siebengeist z serdecznością, któraby najchłodniejsze serce rozgrzała. Nauczyciel słuchał, zdziwiony i spytał machinalnie prawie:

— Ale dlaczego? Dlaczego?

Siebengeist usiadł za stołem, przykrył trochę knot lampy, uśmiechnął się, jakgdyby wspo-

minając coś odległego, przyczem oczy jego stały się błyszczące i głębokie. Potem powiedział, jakgdyby mówił do lampy, nie do nauczyciela:

— Spotyka się na ulicy, wśród nocy i śniegu, wędrownika i natychmiast łączą się losy dwojga ludzi. Idzie się z tą niezwykłą istotą, ledwie kilka słów się mówi, z trudem dowiaduje imienia, nędznego imienia teatralnego: Myra! Cóż za niezrozumiała kombinacja liter?! Do dnia wczorajszego jeszcze — coś tak nieznanego, jak dzień własnej śmierci, dziś — zdarzenie, którem wszystkie godziny są brzemienne. Nie rozumiem, doprawdy nie rozumiem, co ludzie nazywają przeżyciem. Błądzimy wśród wiecznej tajemnicy.

Pełen sympatji i szczerego współczucia, spoglądał nauczyciel na swego towarzysza, czując, że spotkał wreszcie prawdziwego człowieka.

VI.

Basetla, dwoje skrzypiec i klarnet wygrywały zawzięcie przed rozpoczęciem przedstawienia. „Wielka sala“ dworu frankońskiego, będąca właściwie poprostu obszernym pokojem gospody, zapelniała się widzami. Siedzenia w pierwszych rzędach stanowiły prawdziwe krzesła, dla ludzi zaś, mniej zamożnych, położone były długie deski na beczułkach od piwa. Płynęło tam wszystko, co uważane było za szczyt sztuki i wykształcenia. Widziano zarząd „kasyna“, czcigodne zgromadzenie najelegantszych kólek: panią notariuszową z córkami, panią podstarościna, panią aptekarszową, panią majorową, żonę urzędnika poborowego, ekspedytora, naczelnika i radcę szkolnego.

Następnie ukazały się mniej znakomite damy: żony kupców żydowskich, żony rzemieślników, które z bojaźni i szacunku względem tamtych, jasnie oświeconych pań, nie śmiały mówić inaczej, niż szeptem.

Zakomity świat męski nie przedstawiał się tak imponująco, ale, jak wiadomo, godność cicha niekoniecznie oznacza mniejszą. Atmosfera napełniona była radością i pogodnym oczekiwaniem, jak zwykle w teatrze, który gromadzi zawsze żywioły strojne i z wszelkich trosk wyzute, aby w oczach tych eleganckich kólek wypróbować potęgę sztuki. Wszystko jest tam poświęcone wzniosłemu podniesieniu ducha. Nikt nie stawia się po to jedynie, aby podziwiać jakiegoś aktora, aby pokazać kosztowną suknię, lub pozbawić powodzenia nielubianego aktora.

Kurtyna się podniosła. Uroczyście pojawił się dyrektor, który wypowiedział wierszowany prolog barona. Wykonanie poematu było dosyć zręczne. Mówca krzyczał i wrzeszczał wtedy tylko, kiedy to było konieczne. Przy zdaniu: „Prawda i natura są jednym!“ wyciągnął obie ręce przed siebie, jakby dla uchwycenia widma i uczynił długą pauzę — zdumiewający i świetnie pomyślany efekt deklamacyjny.

Kiedy się prolog skończył, pierwsze skrzypce zaczęły grać solo jakąś porywającą melodje.

Baron siedział w pierwszym rzędzie, z pełnym zadumy i szczęścia obliczem. Różne znakomite osobistości podchodziły do niego, ściskając jego dłoń ze wzruszeniem i szacunkiem. Żona była ubrana, opierała się na jego ramieniu, patrząc tęsknym wzrokiem przed siebie. W gruncie rzeczy ukrywała ona z trudnością swój gniew i zły humor, stąd powstały, że obok niej, po lewej stronie, siedział nie prowizor, jak to było postanowione, lecz Filip Unruh. Ten ostatni nie śmiał patrzeć ani przed siebie, ani poza siebie, tak onieśmiało go świetne miejsce, na którym się znajdował. To też ucieszył się bardzo, gdy kurtyna, na znak rozpoczęcia się sztuki „Melchjor, czyli cierpienia starości“, poszła w górę i głębokie milczenie zapanowało wśród publiczności. Niekiedy tylko słychać było westchnienie baronowej.

Na scenie ukazało się dwóch mężczyzn: stary i młody. Stary nazywał się Melchjor i był ojcem, młody zaś, imieniem Baltazar, był synem. Syn ten było wielki niepoń, gdyż chciał zostać żołnierzem, podczas gdy ojciec pragnął go skłonić do teologii. Niegodziwość Baltazara była tak wielką, że ośmielił się w końcu zakochać w biednej dziewczynie. Kiedy ta cała smutna sprawa wyszła na jaw, dziewczyna ukazała się sama wobec rozgoryczonego, ale prawego Melchjora, którego rolę grał dyrektor, z uczuciem schorzałego patriarchy. Osoba, przedstawiająca zakochaną dziewczynę, mówiła zrazu ledwie parę słów; właściwie nie mówiła nawet, tylko szeptała ze strachem i pośpiechem, spoglądając raz po raz na słuchaczy. Kostjum jej był nędzną mieszaniną stroju w stylu „empire“ i ubioru dziewczyny fabrycznej, ale w ruchach jej było coś, co nadawało wdzięk każdemu kostjumowi, co przemawiało bez słów, płynąc nietylko z roli, lecz z całej istoty dziewczyny.

— To napewno Myra,—domyślał się nauczyciel. Szczególniej w zachwyt i zdumienie wprawiała go przepiękne usta dziewczyny. Zdało mu się, że nigdy podobnych ust nie widział. Dostrzegał w nich smutek i powab, dobroć i milczenie, tęsknotę i wczesną śmierć. Były to wrażenia tak silne i przykre, że zapomniał wobec nich o sobie i własnych myślach, poddając się całkowicie owym niezwykłym podszeptom.

Myra opuściła scenę, na której zapanowała cisza, jakkolwiek ludzie wciąż jeszcze chodzili po niej, przechadzali się i gorączkowali. Myra wróciła — i powietrze napełniło się zapachem i jakimś śpiewem dalekim. Wargi pięknych ust rozchyłały się i zamykały ruchem tajemniczym i słodkim, jak płatki róży zdmuchnięte na kamień, kiedy je wiatr nocny porusza. Była z tem związana sztuka niewysłowionej, głębokiej pogody, wyzutej z wszelkiej melancholji, owej pogody, która wielu kobietom nadaje urok czegoś, godnego zaufania i wieszczego.

Filip Unruh siedział pochyłony, złożone dłonie wsunawszy między kolana. Obawiał się, że ktoś spostrzeże jego wzruszenie, a wtedy — cóż się stanie z opinją jego, jako rozsądnego człowieka! Ale to nawet wrażenie przedstawiało

mu się w formie chaotycznej. Popadł w odurzenie jakiegoś, do snu podobne.

Tymczasem głos Myry stał się donioślejszy i pełniejszy. Ale, jako aktorka, Myra wzbudzała politowanie takich znawców, jak doktor Maspero. Kiedy rzecz cała z wielkim trudem doprowadzona została do sceny przekleństwa ojcowskiego, doktor obrany jako krytyk, poczynił na papierze od recept pewne notatki. Sąsiedzi, którzy to spostrzegli, porozumieli się wzrokiem, pełnym uznania, gdyż duch przeczenia szanowany jest zawsze i wszędzie.

Melchjor właśnie, między innymi najrozmaitszymi stworzeniami, jał przeklinać też samego siebie. Naraz wszczęła się wzrastająca panika wśród żeńskiej połowy słuchaczy. Po sali biegła szczer, wzniesiona strach, wobec którego rozproszył się nastrój „sztuki z życia w dziesięciu odsłonach“. Prawdziwe niebezpieczeństwo bywa wtedy, gdy zaciera się różnica między stanami. Kobiety blade i drżące, podniosły się z miejsc. Podjum estrady nabrało znaczenia wyspy wśród oceanu. Melchjor przestał być Melchjorem i czynił honory pana domu uciekającym damom, które nie mogły się dostać do drzwi wejściowych. W dole, „na oceanie“, pozostali tylko mężczyźni, zajęci, w surowym poczuciu obowiązku, tropieniem potwora.

Filip Unruh podniósł się także, machinalnie opuścił salę i wkrótce znalazł się na dworze, w opustoszałym ogrodzie gospody. Powietrze było miłe i łagodne, śnieg padał, miękki i biały. Dokoła słychać było lekkie szmery. Woda sączyła się z drzew i rynien. Przed drzwiami szopy jakiegoś przysiadły do ziemi dwa przytulone do siebie koty, nieruchomo i tępo zapatrzone w migotliwe światła pobliskiego dworca. Dalej był tylko ciemny zaułek, gdyż szopa graniczyła z kregielnią i dwa te mury stykające się tworzyły głęboki kąt.

Przed drewnianymi drzwiami szopy stał mały ręczny wagonik, obok zaś ławka, na której siadł nauczyciel. Cisza była przed nim i dokoła niego ale w duszy jego rozbrzmiewały jakieś dźwięki i głosy. Czas jakiś siedział tak, wsłuchując się w te szmery nieznane, gdy naraz zaskrzypiał śnieg pod zbliżającymi się z wolna krokami. Wynurzyła się wreszcie postać dziewczęcia, które ze schyloną głową, jakby zmęczone, zatrzymało się na progu szopy. Jakby bojąc się, aby ją kto nie spostrzegł, szła dalej, stapa-

jąc ledwo dosłyszalnie. Tak doszła do owego ręcznego wagoniku, na którego dyszlu usiadła, wspierając łokcie na desce.

Przywykłe do ciemności oczy nauczyciela, dokładnie widziały to wszystko. Pod wpływem jednak nieświadomionego naporu wstydu i strachu, Filip Unruh odwrócił oczy. W tej samej chwili rozległo się łkanie, którego siłę najwidoczniej łagodziły tylko mocno zaciśnięte wargi. Nauczyciel zaczął drżeć całym ciałem, oczy jego przesłoniły się łzami. Myślał tylko jedno słowo: bajeczne imię „Myra“, widział jedne tylko usta, spazmem bólu skurczone. Czyż nie miała swoich czterech ścian, w którychby się wyplakać mogła? Czyż do tego celu służyć musiała głucha, chłodna szopa na dworze?

Mimo to, jeszcze nie śmiał się poruszyć. Wzruszony i wzburzony, gorączkowo szukał w głowie rady jakiejś, jakby znał powód szlochania i mógł znaleźć środek ratunku.

Groźny głos zawołał: „Myra!..“ Płacząca uciechła, podniosła się i skierowała ku domowi.

Filip Unruh przeczekał długą chwilę, nie chcąc aby go teraz ktoś zauważył. Zdumiewała go niezmiernie cisza w przyrodzie. Niebo i ziemia zdawały się jeszcze rozbrzmiewać echem owego łkania. Powstał i siadł na dyszlu wagonika, trzeszczącym pod jego ciężarem. Dziwiło go, że znajdował się w tej samej, ściśle ograniczonej przestrzeni, w której parę minut temu biło serce Myry. Podniósł się, jakgdyby nie czuł się godnym tego dostojęstwa. Myśli jego skierowały się bezpośrednio na własny wygląd zewnętrzny, na swoje mało interesujące rysy, na czerwonawe, rozczochrane, zwisające wąsy. Niecierpliwie skierował się wśród mroku ku domowi. Ale jakież było jego przerażenie, kiedy zobaczył Myrę stojącą na progu i nieruchomo patrzącą w noc. W blasku niepewnego światła, padającego z sieni, zobaczył, jak przykre źdźwienie ożywiło jej twarz w chwili, gdy go ujrzała nadchodzącego z głębi podwórza. Nie zatrzymał się jednak i podszedł wprost do niej.

Oparta o słup dziewczyna, usunęła się, aby go przepuścić. Zobaczył jej niechętny, pytający wzrok i, zmieszany, spojrzął na nią z pod oka. Jakiś mus wewnętrzny przeszkadzał mu iść dalej. Starając się nadać słowom swoim ton współczucia, wyszeptał:

— Słyszałem wszystko. Ale niech się pani nie gniewa...

(d. c. n.)

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO BOGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.— półr. rb. 3.— kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.— „ „ 3.50 „ „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ „ 10.— „ „ 5.— „ „ 2.50
Za odnośnienie do domu 15 kop. kwartalnie.	Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

JENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa“.

Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Głiszczyńska.

Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Biłkowskiego i W. Mańkiewicza, Nowogrodzka 17.